



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Antoni Lange.

L I P A.

Obsypana złotym kwiatem,
Pszczół śpiewaniem rozdzwięczona,
W okno moje patrzy latem
Lipa stara, pochylona.

Rozrośnięta, rosochata —
Chyli zielen swą ku ziemi;
Niepamiętne przeszły lata
Nad gałęzmi jej staremi.

A schylone jej konary
Wchodzą oknem do pokoju;
Rozlewając w okół gwary,
Co w niej dźwięczą od pszczoł roju.

W jej gałęziach liczne ptaki —
Niewidzialna drzew kapela —
Pieśń w powietrze rzuca szlaki,
Pełną życia i wesela.

Lubię siadać po wieczorze,
Pod mej lipy gęstym cieniem —
I w błękitny patrząc Boże,
Cichem poić się marzeniem!

Stara lipo, ty masz duszę,
Co kołysze mię i pieści, —
I w wieczorów letnich gładzę
Dziwne szepcesz mi powieści.

Słodkie, miodne masz ty wonie,
I śpiewnemi dzwonisz pszczoły —
A na ciemnym twojem łonie,
Zielenieje kwiat jemiody.

Świątą lipa dla pieśniarzy:
Lipcowemi wieczorami
Stara lipa ze mną gwarzy,
I ku nowym pieśniom mam!

Pieśń od lipy w niebo rwie się —
Co wspomnienia wiąże w głoski:
Czy pamiętasz w Czarnym Lesie,
Jak to śpiewał Kochanowski?

Od tych pieśni czarnoleskich
Szła melodya niemilknąca:
Niby echo wróżb niebieskich,
Czarodziejska pieśń bez końca!

VAN DYCK.

(Dokończenie).

— Mam świetną myśl! — zawołał jeden z nich. — Zrobiliśmy szkodę, więc trzeba ją naprawić. Niech jeden z nas weźmie się zaraz do pracy. Jeżeli chcecie, jam gotów!

— Ty — rzekł jego sąsiad pogardliwie — przecież ty mój biedaku, ledwie pędzel potrafisz wziąć do ręki.

— Dobra wola zrobi resztę — odpowiedział projektodawca.

— Ale dobra wola nie zastąpi talentu — odparł Diepenbeke. Zresztą rada jego jest niezła. Najzdolniejszy z nas niech maluje.

— A który jest najzdolniejszy? — zawołali, patrząc po sobie.

W tejże chwili jednogłośnie krzyknęli: „Van Dyck!”

— Ja! — rzekł Van Dyck, przerażony tem trudnem zadaniem.

— Tak, ty — odpowiedzieli, — malujesz najlepiej z nas, masz trzy godziny czasu, więc bądź dobrej myśli i ratuj nas.

Van Dyck wziął drżącą ręką paletę, którą mu podawali, wybrał pędzle, usiadł przed sztalugami i ręką nieśmiałą a mimo to wprawną, zaczął malować. Im więcej bał się gniewu mistrza, tem więcej usiłował okazać się jemu równym.

— Tylko trzy godziny czasu — mówił — to za mało, aby oddać ten świeży ton Rubensa, ten koloryt taki żywy! Mój Boże, dopomóż mi!

Ranię Magdaleny było skończone. Pochwały przyjaciół zachęciły go do dalszej roboty. Wieczór zapadał, gdy praca była ukończona.

Ale jutro co powie Rubens, gdy spostrzeże podstęp swych uczniów?

Żaden z nich nie spał tej nocy, to pewna.

Nazajutrz rano, gdy Rubens wchodził do szkoły, chłopcy starali się wyczytać swój wyrok z jego oblicza. Ale twarz mistrza była pogodna.

— Jeszcze nie wie o niczem — szeptali między sobą. I uspokoili się na chwilę.

Rubens chodząc od sztalugi do sztalugi, tu ganił, tam dawał radę lub zachętę.

Nagle zwrócił się do całej szkoły:

— Panowie — rzekł — pokażę wam obraz kościelny, który przeznaczam do kaplicy pewnego kardynała. Chodźcie ze mną.

Dreszcz przebiegł każdego z chłopców. Wstali i poszli za mistrzem w milczeniu. Gdy weszli do pracowni, Rubens stanął przed obrazem, wskazał palcem, to co niby malował dnia poprzedniego i zawołał:

— Jestem z tego dosyć zadowolony, patrzcie!

Nagle urywa, zbliża się żywo do obrazu, przeciera oczy i patrzy jeszcze.

Straszna to była chwila.

— To szczególne — mówi Rubens, patrząc na robotę Van Dycka — niby to moja praca, a jednak nie moja. Wspaniale malowane, nie przeczę, ale jakaś inna ręka tu pracowała.

I zwrócił się do swoich uczniów, a pomieszczenie, jakie dostrzegł w ich twarzach, odkryło mu cząstkę prawdy.

— Byliście wczoraj w mej pracowni? ruszaliście wszystko... i zdarzyło wam się nieszczęście... nieprawdaż? No, mówcie! Zamazaliście obraz i jeden z was naprawił szkodę? Odpowiadajcie na miłość Boską! Który to malował? Niechże się przyzna, czego się boi?... że się będę gniewał? Raczej go uściskam, bo to wspaniałe, znakomite, pyszne! Od dzisiaj uważać go będę za mego zastępcę. Chłopcy, ten, którego pędzel to malował będzie naszym mistrzem; ja, Rubens, mówię wam to. Dalej, mówcie kto on?

— Van Dyck — zawołali chłopcy chórem, i usunęli się, aby zostawić wolne miejsce dla Van Dycka, który cofnął się w tył, cały w rumieńcach.

— Van Dyck — powtórzył Rubens i podał mu rękę — powinienem był zgadnąć. Brawo, mój przyjacielu. Już się odemnie niczego nie nauczysz. Trzeba teraz jechać do Włoch i uczyć się na wielkich mistrzach w Rzymie, Florencyi, Wenecyi. Jedną dam ci tylko radę na końcu. Są ludzie, którym się zdaje, że portret nie jest godzien pędzla artysty. Otóż to nieprawda. Ty będziesz królem portrecistów. Głowa, to twoja specjalność... Panowie — dodał Rubens — przebaczaam wam chętnie waszą nieuwagę.

Widząc, że wszyscy wesoło wychodzą z pracowni, i że mistrz przyjaźnie wspiera się na ramieniu Van Dycka, mówił stary Jakób do siebie:

— Wzięli sobie do serca moje napomnienie; pan był dzisiaj z nich zadowolony... Poczeiwe dzieciśka! Od dzisiaj wpuszczę ich zawsze do pracowni.

Van Dyck miał wtenczas siedemnaście lat. Urodził się w r. 1599. Ojciec jego był malarzem na szkło i uczył go pierwszych zasad rysunku. Potem umieścił go u Henryka Van Palen. Tutaj Antoni Van Dyck zrobił wielkie postępy a następnie został przyjęty do szkoły Rubensa.

Przed wyjazdem do Włoch, Van Dyck chcąc okazać Rubensowi swą wdzięczność, wykończył trzy obrazy historyczne i ofiarował mu je. Rubens ozdobił nimi swe mieszkanie i szczylił się niemi, jako najpiękniejszymi okazami swego zbioru.

Van Dyck był już uważany za wielkiego artystę a mimo to uczył się pilnie na dziełach wielkich mistrzów w We-

necy i kopiował obrazy Tycyana i Pawła Verones'a. Pracował także w Rzymie i w Genui, potem wrócił do ojczyzny. Wkrótce osiadł w Hadze, gdzie malował portrety księcia Oranii, całej jego rodziny, panów z jego dworu, najbogatszych kupców a nawet cudzoziemców, którzy umyślnie przyjeżdżali do Hagi, aby mieć portret jego ręką robiony. Karol I, wielki miłośnik sztuki powołał go do Angli, gdzie go czekało równe powodzenie. Miał tyle zamówień, że czasu starczyło tylko na malowanie portretów. Zarabiał bardzo dużo. Mimo to nie zdobył majątku, bo prowadził dom otwarty, trzymał mnóstwo służby i wspomagał chętnie swych licznych przyjaciół. Oprócz tego zajmował się alchemią i ona to pochłaniała złoto, które pędzłem zarabiał. Pojął za żonę córkę lorda Ruthwera, ze starej ale ubogiej szkockiej rodziny. Umarł na suchoty w r. 1641, mając lat 42.

Obrazy Van Dycka znajdują się we wszystkich większych muzeach Sztuk Pięknych.

Senta.

Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Ja bo znam cały mój dwór: Frau Johanna von Overbein, Martha von Bitterman, Magdalena von Fürstenhoff... i po wyliczeniu jeszcze kilku nazwisk niemieckich, dodała, krztusząc się przy wymawianiu ostatniego — Pamiętam nawet nazwisko tej waszej Polki: Ewa Zadzierżanka.

Sądziła, że taką dokładną znajomością nazwisk dan dworu, zaimponuje małżonkowi i skłoni go do przypomnienia sobie choćby jednego ze swoich dworzan. Tym jednym miał być właśnie ów młodzieniec, o którego jej chodziło. Ucichła więc na chwilę, czekając odpowiedzi. Przeszło kilkanaście sekund w milczeniu. Nagle cisza panująca w komnacie przerwana została głośnień chrapnięciem, wychodzącym z głębi fotela, na którym król Michał podczas całej rozmowy przesiadział.

Eleonora zerwała się z wielkim szelestem swych szat jedwabnych, pełnęła nogą podnóżek, który upadł z łoskotem i spojrzawszy z gniewem na siedzącego małżonka, zabrała się do wyjścia.

Nagle jednak zmieniła zamiar.

— Lekkim krokiem przysunęła się do rozbudzonego tym hałasem króla i głosem nader łagodnym rzekła:

— Nad mojami damami jest ochmistrzynią gräfin Olimpia von Habstangerhoff, a kto jest ochmistrem dworu jego królewskiej mości?

— Ochmistrem, ochmistrem?... — spytał król, nie rozumiejąc na razie o co go pytają.

Królowa wzruszyła znów z niecierpliwości ramionami, a widząc, że tą drogą nie dojdzie do celu, spróbowała innej.

Spytała więc z przymileniem:

— Czy jego królewska mość pozwoli wezwać tutaj marszałka swego dworu?

— Proszę, bardzo proszę! — odrzekł król Michał, Eleonora poruszyła ciężki dzwonek, uczepony u nóg stołu.

Wszedł lokaj Niemiec.

— Najjaśniejszy pan wzywa do siebie marszałka swego dworu — rzuciła królowa.

Król zaś westchnawszy, wstał z fotelu i chciał się oddalić.

— O, niechże mój miłościwy pan zrobi mi ten honor i pozostanie! — rzekła Eleonora z przymileniem.

A tłumiąc swą niecierpliwość dodała:

— Wszakże nie rozumiem waszego języka, nie będę mogła z marszałkiem się rozmówić; jego królewska mość raczy na siebie przyjąć rolę tłumacza i zapytać o dworzaniina, który był na Bielanach.

— Z przyjemnością — odparł król z wymuszonym ukłonem. I siadłszy na ulubionem miejscu zaczął obracać palcami.

W tej chwili wszedł pan Dziegielewski.

— Jak się nazywa dworzaniin, który był na Bielanach — spytał król, spełniając przyrzeczenie dane małżonce.

— Jan Niewdźyd, dworzaniin do szczególnych rozkazów jego królewskiej mości — odparł marszałek z niskim ukłonem.

— Jan Niewdźyd, Jan Niewdźyd... — powtórzył król. I zmarszczywszy czoło usiłował sobie coś przypomnieć. W tej chwili bowiem to nazwisko nasunęło mu na pamięć cały szereg wypadków, a przede wszystkim pierwsze dni po wstąpieniu na tron.

— Wie? — spytała królowa, zwracając się ku stojącemu marszałkowi.

— Jan Niewdźyd — odpowiedział tenże.

— Ja, ja, Jan Niewd... — usiłowała powtórzyć trudne do wymówienia dla cudzoziemki nazwisko.

— Co to za jeden? — spytał król, któremu wciąż to nazwisko mijało w pamięci.

— To ten młody szlachcic, którego najjaśniejszy pan kazał sprowadzić ze zranioną ręką, zaraz po elekcyi. Został on dworzaniinem do szczególnych rozkazów miłościwego króla — tłumaczył Dziegielewski.

— Szczególnie, zapomniałem o nim zupełnie! — rzekł król jakby do siebie.

— No, no — mówił w zamyśleniu, przypatrując się swym koronkowym mankietom.

— Jabym chciała, żeby tu przyszedł — ozwała się do marszałka Eleonora.

Michał powtórzył żądanie królowej.

Dziegielewski skłoniwszy się jak należało, wybiegł z młodzieńczą prawie żywością, by jak najprędzej spełnić rozkaz.

Było to rzeczą tak niezwykłą, żeby król kazał kogoś przywołać, iż gdy wezwano marszałka, wszyscy dworzanie z nadzwyczajną ciekawością oczekiwali jego powrotu. Teraz, gdy ten z kolei zawołał, by Niewdźyd natychmiast stawił się przed królem, oczy wszystkich skierowały się na szczęśliwego według ich młodzieńca. Jeden tylko Marek nie zdziwił się, lecz szepnął.

— Wiedziałem, że tak będzie.

I twarz jego błada zarumienila się, nie wiedzieć z radości, że się tak stało, jak przepowiedział, czy też z innego jakiegoś uczucia.

Jasiek z obowiązku gotowy zawsze i oczekujący do-
tąd napróżno wezwania, pospieszył w mig do wskazanej
mu przez służbę komnaty.

Zaledwie się skłonił, król zazwyczaj tak obojętny
i milczący spojrział na niego uważnie i spytał:

— Czyś ty Niewdźyd?

— Do moich osobistych rozkazów! — powtórzył po-
woli, zastanawiając się nad każdą sylabą Michała.

I znów uśmiech okolił jego usta, lecz uśmiech jakiś
sarkastyczny i bolesny.

— Urządzimy wyścigi do pierścienia i strzelanie do
celu na Bielanych; miłościwy małżonek każe zapewne swe-
mu dworzaninowi do nich należeć — rzekła królowa tym
tonem oschłym i stanowczym, w obec którego wszelki opór
byłby daremny. I przyłożywszy szklę do oczu, zaczęła
się przypatrywać młodzieńcowi.

Do pow. „Trzydzieści lat wśród dzikich.”



Ogromny bawół rzucił się za Jambą.

— Jan Niewdźyd dworzanin jego królewskiej mości
z jego osobistego rozkazu i do jego osobistych rozkazów —
odrzekł śmiało młodzieńiec, z dworskim zgrabnym ukłonem.

Na twarzy królewskiej wykwitło pewne zdziwienie,
a nawet uśmiech zagrał na tem wiecznie obojętnem obliczu.

W pamięci Michała pozostał niezgrabny chłopak
z ręką na chuście, wyrażający się gburowato i pospolicie, te-
raz stojący przed nim zgrabny i smukły młodzieńiec wpra-
wiał w pewien podziw obojętnego zwykle na wszystko mo-
narchę. Młodzieńiec ten był jakiś inny od otaczających
tron królewski osób. Szczerłość i prostota, wyglądająca
z pod sukni i ogłady dworskiej, czyniły go pociągającym
i sympatycznym.

Niewdźyd domyślił się raczej aniżeli zrozumiał, że to
o nim była mowa i cały zapłonął rumieńcem.

Zmarszczył przytem nieco brwi, bolało go to bowiem,
że na niego patrzą, jak na jakie szczególne zwierzę, mówią
o nim, a on nic nie rozumie.

Król powtórzył rozkaz królowej, a potem dodał:

— Przyjdiesz jutro do mojej komnaty o godzinie
dziesiątej rano, albo nie, o dziewiątej i pół.

Przypomniał sobie, że o dziesiątej przychodzi zwykle
podkanclerzy i przedstawia mu cały szereg spraw, które go
nużyły, a których jednakże musiał wysłuchać.

Niewdźyd skłonił się przykładając rękę do piersi na
znak podziękowania, a król nie zwracając uwagi na ma-



Jadwiga Sikorska.

— Ho, ho, to nie Bielany!
 — A dworskie damy, to nie marszałkówny!
 — Że mu się udało, to daj Boże każdemu — ozwał się Marek, który wszedł na koniec rozmowy.

— A co?

— A jak? poczęto znowu.

— No, bo jemu się zawsze udało! ale i dobrze, bo to poczciwy chłopak — rzekł Marek, broniąc towarzysza, którego serdecznie od niejakiegoś czasu polubił.

Rozmawiając dość często z Niewdzydem, sam jakoś począł się zastanawiać, że takie życie jakie wiodą na dworze, nie doprowadzi ich do niczego, a upływa w zupełnej beczynności.

Na dworze królowej tymczasem wrzało jak w ulu.

— Będzie zabawa!

— Będą wyścigi!

— Dworzanin jego królewskiej mości, niepospolitej siły i zręczności młodzian będzie się popisował — mówiły damy dworu królowej.

I każda przygotowywała sobie stroje, w których na owym festynie na Bielanych miała wystąpić.

Na dworze szwaczki i krawcy byli dniem i nocą zajęci; szyto jedwabie i sycowe jupki, kabaty, robe—rondy *) i tołubki. Karbowano wysokie koronkowe i ze wstążek kryzy i kornety, nabijano u trzewików nadzwyczajnej wysokości korki. Każda bowiem z uczestniczek festynu, chciała być jak najwyższą, ażeby mogła wszystkie popisy doskonale widzieć i sama była widzianą.

Wśród tych przygotowań coraz ktoś dodał o nadzwyczajnej sile mającego się popisować dworzanina.

— Wyrwa dęby podobno jak rzepkę! — rzekła Marta Bitterman, rozszerzając z podziwu wielkie swe błękitne żrenice.

— Na jednej dłoni postawił dwie niewiasty i obnosił je tak łatwo, jak ja oto te dwie amforki — mówiła Klara,

*) Spolszczono je potem, nazywając robionami.

żonkę, która zaczęła coś mówić, wyszedł ociężałym krokiem z komnaty.

Wśród dworaków tymczasem aż wrzało.

— Jego królewska mość zawołał Niewdzyda!

— Nie, to królowa jejność.

— Gdzie tam, to tylko marszałka wzywano; pewnie dostał nosa, że Jaska wysłał na Bielany.

— Juści — zawołał ów elegancik Inocenty, przedrzeźniając Jaska.

A potem dodał:

Stawiono przed królem mazura, a on się po mazursku za uchem poskrobał...

— Eh! — przerwał ktoś niedowierzająco.

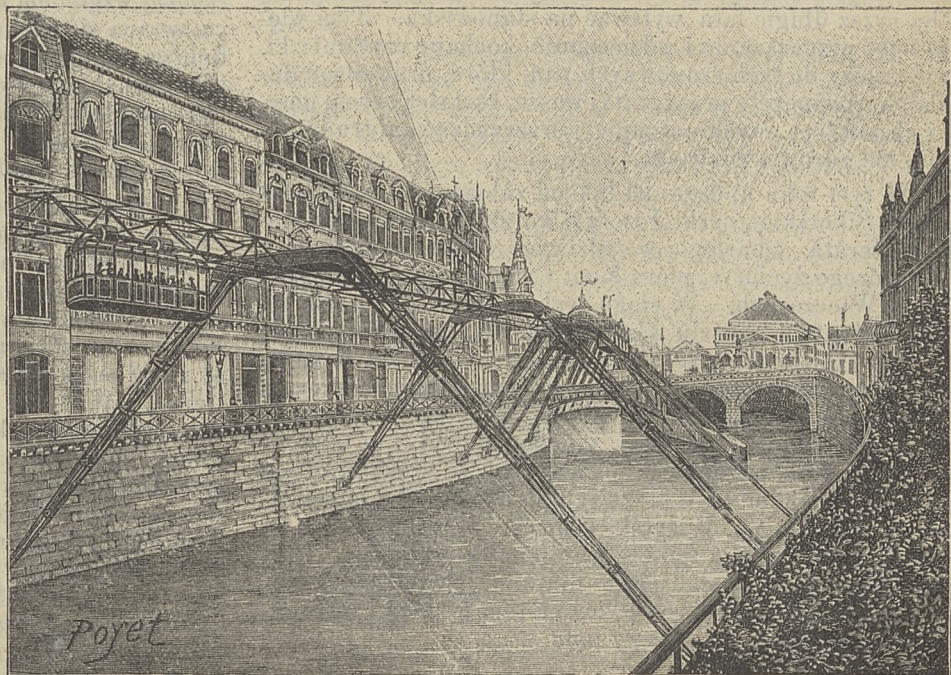
— Juści! — powtórzył po raz drugi wierzcipięta, zadowolony, że mu się tak niechcący udało towarzyszy w pole wyprowadzić.

— Powiedże prawdę?

— Zkąd wiesz? — pytano.

— Zkąd wiem, to moja rzecz, a tylko wam powiem, że teraz cały francymier śmieje się do rozpuku i stroi sobie żarty z mazura — siał dalej usnutą plotkę elegant.

— Nie udało mu się jakoś na ten raz — dodał.



Kolej elektryczna wisząca (str. 288).

potrząsając główką i niosąc równo ustawione na dłoni dwie małe z wodą różaną balsamki.

— A panna Ewa nic nie słyszała o swoim rodaku? — spytała nagle któraś z panien Zabierzanek.

— Ho, ho, com ja słyszała, to trudno nawet opowiedzieć — odrzekła Zabierzanka.

— Nietylko słyszałam, alem z nim rozmawiała — dodała uśmiechając się figlarnie.

— Rozmawiała! rozmawiała! — zawołały towarzyszek, dygając przed Jewką z pewną przesadą, jak gdyby rozmowa z owym dworzaninem dodała powagi i wartości Zabierzance, słuchającej dotąd w milczeniu całej gadaniny swych towarzyszek.

— I cóż? I cóż?

— Jak wygląda? — pytały na wyścigi.

— Phii, taki sobie jak wszyscy — odrzekła Ewa, zaraz jednak dodała:

— Jak wszyscy, ale jakiś inny.

— Mówili, że to wielkolud... — rzekła panna Fürstenhoff z miną pełną zawodu.

— Podobno ma głos tak gruby i donośny, że jak się odezwie, to szyby drżą w oknach — zapytała Magdalena.

— Chyba, że głos swój unie, jak potrzeba miarkować, mówił takim głosem jak wszyscy — odrzekła znowu Ewa, zamysławiając się czegoś wbrew swemu zwyczajowi.

Była bowiem święgotliwa i wesoła jak ptaszek.

(d. c. n.)

Jubileusz Przełożonej.

Kilka jest zaledwie w Warszawie pensjonatów, których przełożone i kierowniczkę przez lat kilkadziesiąt spełniają swoje ważne i trudne zadanie, wychowując coraz nowe pokolenia panienek. Ciężki to bowiem, wyczerpujący zawód, więc nie wszystkim sił starczy lub Bóg życia udziela, by przez długie lata wytrwać na stanowisku. Tem większe więc przywiązanie i wdzięczność, kochane czytelniczki, żywić należy do tych szanownych pań, które, prowadząc dalej dzieło rozpoczęte przez matki wasze, kształcą serca, umysły i charakter swych uczennic, nie szcędząc ani trudu ani znoju, ani zdrowia własnego.

W tym roku upływa 25 lat od założenia pensji pani Jadwigi Sikorskiej, córki Józefa Sikorskiego, znanego muzyka i literata, zmarłego w sędziwym wieku przed trzema laty, którego życiorys, pióra Zofii Urbanowskiej, zamieściliśmy w Wieczorach. W ciągu tych 25 lat pensję p. Sikorskiej z patentem sześciu klas ukończyło z górą 700 uczennic a że szanowna przełożona wysokimi zaletami serca i umysłu oraz uniejętnem postępowaniem z licznym gronem swoich wychowanek, umiała zjednać sobie trwałe przywiązanie i wdzięczność, świadczy między innymi i ta okoliczność, że jej były uczennice zjechały się w wielkiej ilości w zeszłą niedzielę do Warszawy i po uroczystym nabożeństwie w kościele pp. Wizytek — udały się zbiorowo do jej mieszkania, aby uczcić ten ćwierć wiekowy jubileusz. I my łączymy powinszowania nasze dla niej i życzymy jak najdłuższej i najpomyślniejszej pracy na tem żyznym i wdzięcznym, choć trudnym do uprawy polu.

Samuel Trzciniński.

POGADANKI Z ASTRONOMII.

(Dokończenie).

Po upływie miesiąca ziemia, mknąc w ruchu postępowym, zniemi swe stanowisko w przestrzeni względem słońca, a więc na linii tego ostatniego znajdzie się już inny gwiazdozbiór — gwiazdozbiór Barana. Ruchu ziemi bezpośrednio nie dostrzegamy, a więc wyda się nam, żeśmy zostali na miejscu, a słońce tymczasem w ciągu miesiąca zakreśliło na niebie pewien łuk, przechodząc od gwiazdozbioru Ryb do gwiazdozbioru Barana i t. d. W taki sposób w miarę postępowego ruchu ziemi zmienia się istotnie li tylko ten kierunek, w którym dostrzegamy słońce na niebieskiej sferze, nam zaś wydaje się, że to właściwie samo słońce przechodzi z jednego gwiazdozbioru do drugiego, aż wreszcie po upływie roku ujrzemy je znowu w gwiazdozbiorze Ryb.

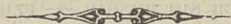
Teraz możemy już ściśle zrozumieć różnicę, jaka zachodzi pomiędzy *ekliptyką* i *orbitą ziemi* co jest rzeczą niezmiernie ważną. Ekliptyka zatem jest to *wielkie koło niebieskiej sfery*, które słońce zakreśla w *pozornym* swym ruchu wśród gwiazd; orbita zaś jest to *istotna*, i nie kołowa lecz *eliptyczna* droga, którą ziemia rzeczywiście dokonywa w *przestrzeni* w rocznym obiegu dokoła słońca.

Przechodząc pozornie od jednego gwiazdozbioru ku drugiemu, słońce wznosi się wyżej lub niżej po nad naszym horyzontem, a to z tego powodu, że oś ziemskiego globu nie jest prostopadłą względem płaszczyzny orbity, lecz tworzy z nią kąt wynoszący $66\frac{1}{3}^{\circ}$. Gdyby oś ta była ściśle prostopadłą, w takim razie widzielibyśmy słońce zawsze na niebieskim równiku, dzień byłby równym nocy i na każdym punkcie ziemskiej powierzchni mielibyśmy jedną tylko porę roku — ustawiczną wiosnę. W taki mianowicie sposób krąży dokoła słońca jeden tylko planeta — Jowisz. Zmiany pór roku nie istnieją tam wcale. U nas na ziemi dzieje się inaczej. Ponieważ oś ziemskiego globu jest *pochyłą* względem orbity, przeto w rocznym obiegu ku słońcu zwraca się raz jego półkula północna, raz znowu południowa, a skutkiem tego znów następują zmiany pór roku; kiedy ku słońcu zwraca się półkula północna, wówczas panuje tam lato, dni bywają dłuższe, aniżeli noce, słońce wznosi się wysoko ponad poziomem, a promienie jego posyłają więcej światła i ciepła.

Po upływie pół roku warunki się zmieniają, ku słońcu zwraca się już półkula południowa, północna zaś bywa wtedy w warunkach najnieodgodniejszych: dni krótkie, słońce wznosi się nisko po nad horyzontem, panują zimowe chłody. Pomiedzy temi dwoma skrajnymi punktami ziemskiej orbity istnieją dwa inne pośrednie, kiedy oba biegunki ziemi znajdują się w zupełnie jednakowej odległości od słońca. Wówczas widzimy słońce na niebieskim równiku, a na całej ziemi dzień bywa równy nocy. Punkta te zowią *punktami porównania* wiosennego, kiedy u nas (na półkuli północnej) rozpoczyna się wiosna (21 marca) i jesiennego (21 września) który stanowi początek jesieni. W dniach 21 czerwca i 21 grudnia ziemia przechodzi przez dwa punkta orbity zwane *punktami przesilenia* letniego i zimowego. W chwili przesilenia letniego, słońce bywa najwyżej ponad horyzontem i mamy wówczas najdłuższy dzień w roku, a noc najkrótszą. Jest to początek lata na półkuli północnej. W chwili przesilenia zimowego dzień bywa najkrótszym, a noc najdłuższą, słońce zaś stoi najniżej po nad horyzontem. Jest to początek zimy.

W taki tedy sposób teoria Kopernika tłumaczy pozorny ruch słońca wśród gwiazd, zmiany pór roku, wysokości słońca po nad poziomem, także długości dnia i nocy.

Co do bezpośrednich dowodów postępowego ruchu ziemi, nadmienić tu możemy tylko, że posiadamy ich również kilka i niemniej przekonujących, aniżeli dowód Foucault'a dotyczący ruchu wirowego. Mamy tu mianowicie na myśli znane zjawiska *aberracji* i *paralaksy* gwiazd stałych, czyli zmiany ich stanowiska na niebieskiej sferze, zależne od rocznego obiegu naszego globu dookoła słońca. Ponieważ jednak dla dokładnego zrozumienia tych zjawisk musielibyśmy dotknąć pewnych kwestyi, wymagających bardziej szczegółowego wykładu, przeto pominąć je musimy.



WZAJEMNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ

p. Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

— Naturalnie, odpiszemy, niech przyjeżdża, wszak oporu nie stawisz?

Kant wyjął z ust fajkę, puścił gęsty kłęb dymu.

— A co mi do tego, rób sobie co chcesz, byłem miał obiad i śniadanie zawsze w porę — odparł spokojnie.

To powiedziawszy, cybnuch na nowo podniósł do ust.

— Toć to już dorosła panna, ciekawam, czy pięknie wyrosła? — odezwała się znowu żona.

Stary poruszył się.

— Będziesz znowu miała dla kogo spraszać gości i z kim do teatru biegać — mruknął. — Oj, kobiety, kobiety! Nawet, gdy wam włosy posiwieją, siedzieć cicho w domu nie umiecie... Ale co mi do tego! rób sobie, co chcesz, byleby ja miał wszystko na czas.

Pani Kantowa uśmiechnęła się do niego.

— Bądź spokojny — odparła wesoło — gorzej ci nie będzie z jej przyjazdem, chyba lepiej; zaświeci nam promyk słoneczny, będzie nam z nim weselej, cieplej...

To rzekłszy, wróciła do siebie, by list napisać, poczem zajęła się przygotowaniem „kącika dla Cesi,” jak się wyraziła. Nie miała z tem wielkiego kłopotu: w pokoju jej córki, która przed dwoma laty wyszła za mąż, nie było ruszone z miejsca, jak gdyby rodzice oczekiwali jej powrotu lada chwila; kazała tylko zawiesić świeże firanki, oblec czyśció łóżko, pomyć drobiazgi stojące na biurku i kupiła kwitnącą azalię, by ustroić stoliczek przed kanapką, poczem wyczekiwała już spokojnie zapowiedzianego gościa.

W sobotę, w dzień, w którym panna Domicela obiecała, iż przyjadą, zasiadła w południe z pończochą w rękę w saloniku i poruszając spiesznie drutami, nadsłuchiwała pilnie, czy w przedpokoju dzwonek się nie rozlega, a gdy zadzwieczał nareszcie, sama pospieszyła drzwi otworzyć, mówiąc do siebie:

— Z pewnością one!

I nie omyliła się: na progu ukazała się panna Domicela w wielkiej szubie lisiami podbitej, w kapturze jedwabnym, a za nią Cesia, welonem żalobnym zasłonięta.

Pani Kantowa złożyła najprzód dwa głośne pocałunki na żółtych policzkach panny Domiceli, potem roztworzyła ramiona i serdecznym uściskiem objęła Cesię.

— Czym się bardzo zmieniła? — zapytała, patrząc na dziewczynkę rozradowana — siedm lat miałaś, gdy mój tutaj w Warszawie i biedną matkę twoją odwiedzała.

Zmieszana tem za głośnem nieco powitaniem, temi pocałunkami tylokrotnymi, Cesia na razie nie usłyszała pytania, musiała je ponowić pani Kantowa.

— Nic a nic — odparła Cesia, siadając na brzeżku miękkiej napoleoki, stojącej obok kanapki w salonie, dokąd pani Kantowa poprowadziła przybyłe, gdy uwolniły się z ciepłych okryć. — Doprawdy, zdaje mi się, że nawet tę samą suknię miała wówczas ciocia na sobie — dodała śmiejąc nieco.

Pani Kantowa rozśmiała się głośno.

— Szarą, wełnianą, no tak — rzekła wesoło — to mój uniform codzienny, najpraktyczniejsze ubranie przy zajęciach-gospodarskich, szara suknia i fartuch kamlotowy, odkąd za mąż poszłam, tak ubieram się zawsze na codzień. To dobrze, żeś nie zatarła się w twojej pamięci — dodała — mam dowód, żeś mię trochę lubiła, a teraz musisz więcej polubić, postaram się o to.

I objąwszy dziewczynkę ramieniem, pocałowała ją w czoło.

Panna Domicela rozglądała się tymczasem po obszernym salonie, bardzo wytwornie urządzonej, i stanowiącym kontrast ze skromną suknią gospodyni.

Salon ten był coś w rodzaju świątyni domowej, w dniu uprzywilejowane tylko roztwierały się jego podwoje.

Pocałowawszy sierotę, wpatrzyła się następnie z widocznym zadowoleniem w ładną jej twarzyczkę i naraz odezwała się:

— Co ci tam po ogrodowntwie; zamieszkaż u mnie na stałe; zobaczysz, będzie ci dobrze.

Panna Domicela ściągnęła brwi.

— Moim i Wąrowskiego życzeniem jest, aby nauczyła się pracować — rzekła poważnie.

— Próbowałam tylko; chciałam wiedzieć co mi Cesia powie — odparła pani Kantowa. — Bądź pani spokojną, nie będę jej od pracy odwozila... Już biegałam w jej interesie, pomógł mi niemało w tej sprawie bratanek mój, Jakób Menkel, który na przyrodnika się kieruje; Cesia będzie poniekąd jego koleżanką. Daję słowo pani, że w końcu tygodnia odbierzesz list od wnuczki, w którym ci doniesie, że już uczęszcza na lekcje do muzeum.

Panna Domicela ożywiła się trochę i poczęła rozpytywać panią Kantową o dawnych, wspólnych znajomych, a ta, mówna z natury, opowiadała dzieje każdego obszernie.

Tak zbiegła godzina, panna Domicela chciała się pożegnać, lecz Kantowa stawiała stanowczy opór.

— Wilhelm nigdyby pani nie darował, żeby się z panią nie widział, on tak panią szanuje — mówiła. — Zostanie pani u mnie na obiedzie; w restauracyach jedzenie niezdrowe.

— Ależ ja muszę dzisiaj o siódmej wyjechać; tak przyrzekłam Klimuni, ona bezemnie, jak bez prawej ręki — tłumaczyła się starszka — mam jeszcze kupić nasion różnych.

— Obiad jadamy o drugiej, tylko patrzeć powrotu męża, po obiedzie pomogę pani sprawunki porobić i na kolej odwożę — odparła pani Kantowa.

Panna Domicela uległa w końcu uprzejmym zaproszeniom. Naciągnął niebawem wyczekiwany pan domu i wszedł wprost do salonu z wielkim popielatym kapeluszem i grubą laską w rękę. Powitał równie głośno i równie serdecznie, jak żona, gości, a ściskając mocno dłoń panny Domiceli, rzekł:

— Śliczną laleczkę przywiozłaś nam pani, oj, będzie ją moja stara psuła, będzie na nią chuchalała.

— A ja liczę, że ją pracować i oszczędzać nauczy — odpowiedziała poważnie panna Domicela.

Kant roześmiał się głośno.

— Pracować i oszczędzać, tego trudno będzie nauczyć wnuczkę jasnie wielmożnych Wąrowskich — rzekł rubasznie — co prawda i krew Freydenów w żyłach jej płynie — dodał.

Przy tych słowach podał dłoń Cesi i głośny pocałunek złożył na jej czoło.

— Wzajemne przesady — pomyślała panna Domicela — mówi; jakby u nas pracowitych i oszczędnych ludzi nie było.

Niebawem pani Kantowa zaprosiła wszystkich na obiad, więc przeszli do jadalni, która również wspaniale była urządzoną, jak salon: stare gdańskie szafy, bogate srebro na stole i piękne rzeźbione krzesła świadczyły, że stary Kant niezawsze skąpił grosza.

— Mam kapitały w interesie i w sprzętach — mawiał on do tych, co się dziwili, iż tak kosztowne meble kupuje. Urządzenie mieszkania to była jego słaba strona.

Obiad dość wesoło upłynął, pan Kant opowiadał o czem słyszał w mieście, żartował z białych rączek Cesi, które zgrubieją przy pracy ogrodniczej, pytał ją czy nie razi jej oczu szary jego *kubrak* i suknia ciotki.

— Twój wuj pewno ubiera się do obiadu, jak ja na bal, a panna Renia ręczę, że stroi się nawet gdy idzie na spacer do lasu — mówił tonem trochę ironicznym.

Po obiedzie, pożegnawszy pannę Domicelę, oddalił się z fajką i kufelkiem piwa do swego pokoju; panie wybrały się za sprawunkami. O siódmej panna Domicela siedziała już w wagonie.

— Pamiętaj dziecinko moja, nie zrażaj się trudami i przykrościami, jakie każdy, kto pracę rozpoczyna, spotykać musi — rzekła na pożegnanie — przypatrz się otoczeniu, wśród którego żyć będziesz; mają oni przynioty, które chciałabym, abyś sobie przyswoiła.

Cesia wróciła z dworca kolei tak zmęczona, iż powiedziała ciotce, że pójdzie natychmiast spać; prosiła, by ją nie budzić na wieczernę, a gdy pani Kantowa zakłopotana, rzekła: — będziesz głodna, przyślę ci cokolwiek — odparła ze smutnym uśmiechem.

— Jeśli mi chcesz dogodzić ciociu, pozwól mi teraz tylko spać, spać aż do jutra.

Ciotka ucałowała ją czule na dobranoc.

— O ósmej jadamy śniadanie — rzekła.

Nie obudziła się jednakże Cesia nazajutrz o ósmej; długo w nocy usnąć nie mogła, więc rano zasnęła; dopiero stuk do drzwi zbudził ją, była to już godzina dziesiąta. Weszła pani Kantowa w nieśmiertelnej swojej szarej sukni, z dobrym uśmiechem na ustach i z filiżanką kawy wyśmientej, którą na stoliku postawiła.

— Przyniosłam ci śniadanie, kochanko, — rzekła, całując na dzień dobry dziewczynkę.

Cesia się zarumieniła.

— Czy to już tak późno? — zapytała.

— Późno, my już dawno po śniadaniu, lecz niechaj cię to nie martwi — odparła pani Kantowa. — Wypijesz śniadanie, potem się ładnie ubierzesz i trańsz jeszcze do kościoła Ś. Krzyża na ostatnią mszę. Po obiedzie spodziewam się gości. W naszej rodzinie każdej niedzieli zbieramy się u kogo innego; w dzień powszedni praca, w niedzielę zabawa; dzisiaj u nas przypada zebranie.

— Wstanę natychmiast i przyjdę cioci pomódz, może trzeba będzie coś przygotować dla gości — rzekła Cesia.

— Dzisiaj ty u mnie gościem jesteś także — odparła pani Kantowa.

Cesia zabrała się prędko do śniadania, a potem do toalety; wśród tych zajęć myśl jej odbiegała ustawicznie to do Wątówki, to do Lisic. W kościele modliła się szczerze za wszystkie drogie jej osoby i za siebie.

O godzinie drugiej służąca wezwała ją na obiad, który nie był wykwińnięjszym od sobotniego.

— Wiesz Adelo, tłok dziś będzie u nas w salonie — odezwał się pan Kant, skończywszy jeść zupę szczawiową. — Wybierają się tutaj wszyscy nasi, każdy ciekawy poznać siostrzenicę Wątowskiego, cuda im o niej opowiadałem.

Słowa te zakończył jowialnym śmiechem, pani Kantowa zawtórowała mu, Cesia zarumieniła się silnie, pan Kant to spostrzegł.

— Już się teraz czerwieni, co to będzie, gdy wszystkie spojrzenia zwrócą się na nią — rzekł wesoło.

— Czy pozwolisz mi ciociu pozostać w moim pokoju? — spytała nieśmiało Cesia — czuję się jeszcze zmęczoną.

— Tej przykrości wszakże nam nie zrobisz? — odparła pani Kantowa.

— Tyś teraz więcej nasza niż Wątowskich — odezwał się pan Kant — gardzić nami nie powinnaś.

— Wuj mnie nie zrozumiał, ja tylko przez nieśmiałość chciałam pozostać u siebie — szepnęła Cesia, tonem zakłopotanym.

— Jeśli nie chcesz, bym cię posądził o pychę nie uciekaj dziś do siebie — odparł Kant.

Obiad niedzielny mniej swobodnie upłynął od sobotniego. Powstawszy od stołu, Kant rzekł do żony:

— Idę wyścić się na przyjęcie gości, potem w salonie zasiądę, gdzie mam nadzieję, iż spotkam pannę Cecylię Freydenównę.

(d. c. n.)

Kolej elektryczna wisząca.

W Niemczech połączono obecnie dwa sąsiadujące z sobą miasta: Barmen i Elberfeld, koleją wiszącą, bardzo ciekawej konstrukcyi. Jak widzimy na rycinie, rusztowanie, podtrzymujące żelazną belkę, po której posuwają się wagony, zbudowane jest w ten sposób, że wznosi się ponad ulicami i kanałami, nie przeszkadzając w niczem ruchowi wozów i statków. Na stację trzeba wchodzić po schodach, a jazda przypomina nieco szybowanie balonu w niewielkiej wysokości i robi bardzo przyjemne wrażenie. Wagony porusza prąd elektryczny.

Rozwiązanie przysłowia w obrazkach z N. 34 i 35.

„Niema tego złego coby na dobre nie wyszło.”

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zhr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRĘŚĆ: Lipa, wiersz przez Antoniego Lange (z ryc.) — Van Dyck (dokończenie). — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów przez Zuzannę Morawską (c. d.) — Rycina do pow. Trzydzieści lat wśród dzikich. — Jubileusz przelożonej (z portretem). — Pogańdki z astronomii, przez Pawła Trzczińskiego. — Wzajemna pomyłka, powieść p. Teresę Jadwigę — Kolej elektryczna wisząca (z ryc.) — Dodatek: Paly zuch, wiersz przez Irenę Mrozowicką (z ryc.) — Nieproszeni goście, szczer rudy (z ryc.) — Poświęcenie, komedyjka w 1-m akcie przez Z. Potworowską. — Ciotka Iza. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzyńka do listów. — Dodatek książkowy: Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marrené.

WIECZORY RODZINNE

NIEPROSZENI GOŚCIE.

Szczur rudy.

Było to bardzo dawno, sto lat może, a temu i więcej, gdy na dużym statku przyjechało do Europy kilka szczurów rudych.

Czy chciały zwiedzić kraje inne, czy przejechać się morzem — niewiadomo; dość, że wylądowały i już więcej do domu nie wróciły.

Z natury bardzo odważne, przebiegłe i zmyślne, radziły sobie doskonale i rozgospodarowały się jak we własnym kraju. Z początku zamieszkały w kanałach i rurach wodociągowych, ale wkrótce przekonały się, że bezpiecznie można przebywać bliżej mieszkań ludzkich; a gdy szczury dochowały się dzieci, które wymagały większych wygod, więc też przeprowadziły się do piwnicy, inne na strych, jeszcze inne do spiżarki; były i takie, które w stajni i oborach zamieszkały.

Trzeba przyznać, że choć stworzenia owe pochodziły z zamorskich krajów i pyszniły się z tego, były bardzo żarłoczne.

Próbowały wszystkiego: owsa, mąki, kaszy, dobierały się do zapasów w spiżarni, w piwnicach, i wszystkiego jeszcze było im za mało.

Nareszcie zaczęły napadać żywe stworzenia, zaczęły zagryzać kury i kurczęta, prosięta a nawet i świnie. Podejrzowano o te szkody tchórza, kunę i wielu innych szkodników i zastawiano na nie pułapki. Dopiero nieproszonych gości wykrył parobczak Janek.

Spał on zwykle w stajni na słomie.

Razu jednego budzi go parskanie kucyka, a że go bardzo lubił, więc zaczął się niepokoić. Oczy przeciera, patrzy; i coś dostrzega! Koń staje przy żłobie i nachyla łeb, żeby nabrać owsa, ale szczur w tejże chwili rzuca się na niego i gryzie go w język. Widać chciał przeszkodzić, żeby mu koń nie zjadł wszystkiego owsa.

Janek, co prawda nigdy takiego dużego szczura nie

Mały zuch.

Mały jestem — cóż to szkodzi,
Czyż i tak nie mam być zuch?
To niczego nie dowodzi,
W słabem ciele silny duch!

Z bronią w rękę przez dzień cały
Srogi z wrogiem toczę bój, —
I choć niby jestem mały,
Mężnie znoszę krwawy znój.

Co sił starczy w bęben biję,
Lub na trąbce sobie gram,
Choć nie dojem, nie dopiję
I nie dośpiję — co mi tam!

Generałem mnie nazwała
Siostra — wiem, że to na żart,
Ale czyż od generała
Dobry żołnierz mniej jest wart?

Jako dzielny szeregowiec,
Dla kolegów wierny druh
Prostą drogą nie w manowiec
Pójdzie w życie mały zuch!

Irena Mrozowicka.



widział, na razie sam się przeląkł, ale więcej jeszcze szczur chłopca — więc uciekł natychmiast.

Nazajutrz Janek opowiedział wszystkim o wypadku z olbrzymim szcurem; wkrótce wykryły się inne jego sprawy; każdy ze swej strony dodał coś o szkodach, jakie wyrządzały szcury i po naradzie postanowiono wpuścić do stajni na noc dużego, starego kota, Mizia, który wiele już w swoim życiu myszy wytepił, potrafi więc on sprzątnąć i tego nieproszonego gościa.

Zamknięto kota w stajni. Janek przeniósł się do szopy na tę noc, lękając się, że mu polowanie kota spać nie da.

Mizio jakoś niechętnie przyjął swe przenosiny — ale został.

Dopiero to dziwować się będą sąsiedzi, gdy im pokażą rudego szcúra, takiego chyba jeszcze nie znają — mówił Janek do Marcinowej. Powiedzą „to mądry Janek, że takie zwierzę wyszedził.”

Nim słońce weszło Janek był już w stajni, uwija się i woła: „Mizio, Mizio!... lecz kot nie odzywa się.

— A cóż u licha, którądyż on wyskoczył, to hul-taj! — mówi zniecierpliwiony, i zbliża się do kuca.

— Olaboga, Olaboga!... — woła przerażony.

Na ziemi leży uduszony Mizio. Aż się chłopiec za głowę schwytał.

— Któżby się spodziewał! Jak ja teraz pokażę się na oczy Marcinowej bez kota; zmartwi się biedaczka.

I rzeczywiście lamentowała kobieta nad Miziem swoim, długo zapomnieć go nie mogła.

A szczurów tymczasem było coraz więcej, coraz większe szkody wyrządzały, a rady nikt na nich nie miał.

Dowiedział się Janek, że podobno w Anglii, są psy jakieś, które doskonale tępią szcury, ale że bardzo drogo kosztują, więc postanowił zbierać pieniędzy, ażeby owe go psa kupić.

Czy udało mu się dostać psa angielskiego, nie mogliśmy się dowiedzieć, ale to jedno wiemy, że szczurów od tego czasu namnożyło się tyle, że niema prawie zakątka, w którymby szcury nie gospodarowały.

Marya Weryho.

POŚWIĘCENIE.

KOMEDYJKA W 1 AKCIE.

P. Z. Potworowska.

OSOBY:

Ojciec. Janek, Staś, Joasia Basia (rodzeństwo).

Walek (chłopiec do posług).

(Rzecz dzieje się na wsi — scena przedstawia pokój do nauki).

SCENA 1.

Janek, Staś, Basia, Joasia.

Staś. A ja wam powadam, że jeżeli Janek wszystkim się będzie zajmował, to z pewnością coś zbroi, mamusię rozgniewa i majówka się nie uda.

Joasia. Ja też trochę się tego obawiam.

Janek (*wstaje nagle*). Dobrze, dobrze, ja mogę oddać naczelne dowództwo Stasiowi, ale w takim razie zapewniam was, że wyruszymy na przyszły rok.

Basia. O, co to, to prawda, jak Staś zacznie się namyślać, namyślać, to majówka weźmie w łeb.

Staś. Basiu! jak ty się wyrażasz? Wstydź się.

Janek. Już ty Basi daj pokój. Basia to moja, a Joasia twoja. Wyście się dobrali (*mówi bardzo wolno*), wolniutko, wolnusięńko, a ostrożnie, a pomaleńku... (*żywo*) my tak nie umiemy, prawda Baśko?

Basia (*wstaje*). My tak nie umiemy, a ponieważ chcemy jechać jutro, a nie na święty nigdy, więc wszystkim sami się zajmujemy.

Janek. My musimy popychać wszystko, aby szło prędzej.

Joasia. I z tej prędkości pozapominacie połowę rzeczy, potłuczecie porcelanę, szkło, połamiecie...

Janek (*przerzywa*). Czy potłuczemy, czy nie potłuczemy, to już nasza rzecz... Już ja wolę prędko...

Joasia. O tak! to bardzo przyjemnie łamać gałęzie, spadać z drzewa i chodzić z guzami.

Janek. Jak ja sobie guza nabiję, to ani ty, ani Basia, ani Staś nie cierpicie na tem, tylko ja, a gdy wy zaczniecie działać po swojemu, to możecie wszystkich przyprowadzić o chorobę.

Joasia. Już zaczynasz wojować. Z tobą chwili spokoju niema; wiecznie byś się kłócił.

Janek. Ja się nie kłóczę, ale z wami to nie można głosu podnieść. A ja mam ochotę krzyzczeć i będę krzyczał. Hej! ha! (*śpiewa*).

Hej wakacje! to rzecz miła,

Wyśmienita rzecz.

(*wszystkie dzieci śpiewają*).

Już nauka się skończyła,

Książki idą precz.

Basia. Cicho już, cicho! teraz trzeba się wziąć do roboty i wszystko porządnie obmyśleć.

Janek (*wskazuje na stół, porzywa stojący na nim dzwonek i dzwoni*). Słuchajcie! Ponieważ ciocia Zosia przyjeżdża do nas za tydzień i ponieważ ciocia Zosia bardzo lubi nasz las, więc jutro pojedziemy do tego lasu na cały dzień i zabierzemy z sobą kilkanaście deseczek, kilkanaście kołków i moje narzędzia stolarskie, i szukać będziemy najładniejszego miejsca, by tam porobić ławeczki i altanki, jednym słowem co się tylko da, by kochanej naszej cici zrobić przyjemność.

Basia. Niech żyje ciocia Zosia.

Dzieci (*razem*). Niech żyje!

Janek (*dzwoni*). Proszę o głos. Jeszcze nie skończyłem. Zabierzemy też ze sobą kompas tatusia, żeby w lesie nie zabłądzić.

Basia. Tatusz nie pozwoli.

Staś. Nie można, nie można.

Joasia. Ten Janek ma też pomysły!

Janek. Już moja w tem głowa, że tatusz pozwoli. Czy to ja dzieciak jestem, żebym zaraz wszystko psuł.

Staś. Był sobie raz jeden majster Psuj, nie znasz tej powiastki Janku?

Janek. Teraz nie czas na powiastki (*dzwoni*). Proszę o głos. (*wbiega Walek*).

(*d. c. n.*)

Ciotka Iza.

(Dalszy ciąg).

Ciotka uśmiechała się pocziwie.

— Tak, Nina jest dobrem dzieckiem — powtarzała — ale ma grymasy, które usuwać muszę, abym ją w przyszłości widzieć mogła szczęśliwą.

O wszystkim więc ta pocziwa, kochana ciotka Iza myślała. Gdy nastąpiła zima, dla Niny znalazła się i ciepła watowana salopka, i kaftanik i trzewiczki. Łódzeczko zasłała ciepłą kołderką, a dla reszty swych wychowanków ileż to pończoch, szalików, ciepłych kaftaników rozdała. Prawda, że sama chodziła w wyszarzanej sukni i coraz więcej cer przybywało na jej okryciu, ależ Boże kochany, ktoby tam takimi rzeczami głowę sobie zaprzętał, byleby tylko tym biedakom co jeść nie mają głód zaspokoić, tych co drżą od zimna, jako tako przyodziać, sierocie, by na rękę nie zbywało to i tak dobrze!

Czyż nad przekonanie, że się komu jest potrzebnym, pożytecznym, może być większe szczęście na świecie?

Przy pracy, zajęciach około dobra bliźnich, czas szybko ubiega. Mieszkańcy Wrześniowa, a nawet sama ciotka Iza nie spostrzegła nawet jak kilka lat upłynęło. Nina, ta mała trzyletnia sierotka, to rozkosznie szczebioczące dzieciątko, niekiedy rozkapryszone stworzenie, krzyczące o lada drobnostkę, pod mądrym kierunkiem ciotki, tkliwą jej opieką, wyrosła na miłą dziewczynkę. Uczyla się pilnie, mimo żywego usposobienia, które jej od dzieciństwa pozostało, a które niekiedy jeszcze płatało figle, ale które umiała utrzymać na wodzy. Lubili ją tak jak dawniej wszyscy, a Marychna z Kazią obejść się prawie bez niej nie mogły. Uczyły się razem, grywały na fortepianie. Ogólnie wieszowano ciotce pociechy z wychowanki.

A ciotka Iza, jakże się przedstawia po tych kilku upłynionych latach?

Postarzała trochę, zgarbiła się nieco. Na twarzy tylko od pewnego czasu zagościła jakaś dziwna troska, niewidzialna dawniej, jakiś jakby wyraz obawy. Stosunek jej z wychowanką był tak serdeczny jak matki z córką, kochały się wzajemnie, a jednak? Nina nie zauważyła, że pomału, potrochu, przez cały szereg lat, ta ukochana opiekunka odejmowała sobie coś z dawnych przyzwyczajęń, z potrzeb nawet koniecznych na jej korzyść. Pomału, nieznacznie, tryb dawnego swego życia zmieniała całkowicie, potrzeby własne ograniczyła do niemożliwości nawet.

Rano wyrzekła się swej ulubionej kawy. Później pod pozorem, że była niezadowoloną, oddaliła służącą,

utrzymując, że to wstyd aby takiego małego gospodarstwa nie móżd samej dojrzeć. A później jeszcze, kiedy Nina podrosła, potrzeby się zwiększyły, rok rocznie ciotka zmuszoną była wydzierżawiać swój ogród. Wszakże nie była bogatą, nie miała żadnych kapitałów z których mogłaby czerpać na potrzeby dla dziecka. Trzeba więc było sobie radzić. Wszystko, co tylko nazywało się zbytkiem, usuniętem zostało z białego domku, a ogród czyż to nie zbytek? Miała w nim najpierwsza wszystkie nowalijki, napiękniesze owoce. Wszak bez tego obejść się można. Prawda, że z ogródka czerpała zasób zdrowia reszta działwy, mali, biedni wychowawcy ciotki Izy, gdy je tam zgromadzała letnią porą, owoców, jarzyn, także wspólnie używali wszyscy, ale trzeba się było tego wyrzec, wszakże szło tu o Ninę!

Dzieciom wynagrodziła to w inny sposób. Przed domem był duży trawnik, kilka krzaków, kilka drzew, dla takich małych osób i to dobre, wszakże szło tu głównie o to, aby bywały na słońcu, na powietrzu, pod troskliwą opieką ciotki, a że ona sama odjęła sobie tę największą przyjemność dreptania koło tego, sadzenia, siania, a następnie zbierania owoców, ot, wielka rzecz, wszakże za to spotykała ją daleko większa. Widziała, że Nina rosła, była zdrową, wesołą, rozwijała się umysłowo! Czyż to nie było największym jej szczęściem! Przyjemności w ogrodzie to bagatela, w porównaniu z tem szlachetnym przekonaniem, że się robi dobrze innym, a przede wszystkim, że się pracuje koło przyszłości sieroty. Wydzierżawiła więc ów ogród bez namysłu, kilkadziesiąt rubli wziętych odrazu stanowiło dla niej dużo, bardzo dużo.

Nina okazywała wielkie zdolności do muzyki. Z początku udzielała jej lekcji nauczycielka panien Zalińskich, chodziła tam więc na naukę codziennie, ale później, gdy ta nauka wymagała większej pracy, kilkogodzinnej, trudno było narzucać się p. Zalińskim, tem więcej, że i tam panienki grywały także codziennie; trzeba więc było pomyśleć o fortepianie dla Niny. Był to wydatek nad możność ciotki. Przez kilka bezsennych nocy myślała nad tem tylko, skądby wziąć pieniędzy, na czem możnaby jeszcze coś sobie uszczuplić. Na razie zdawało się wszystko wyczerpane, a jednak, nie prawda. Ona mogła potrzebną sumę osiągnąć, tylko trochę hartu z jej strony, trochę wyrzeczenia się dawnych miłych wspomnień, tylko odwagi do zerwania z przeszłością!

W czem ona była ta przeszłość? W maleńkiej hebanowej szkatułce. Ta szkatułka stała w komodzie owinięta starannie, ciotka gdy ją brała do ręki doznawała jakiegoś dziwnego drżenia serca, oczy zdawały się jej zachodzić łzami, koło ust rysował się jakiś smutek, czy cierpienie. Wzięła ją jednak pewnego wieczoru. Maleńki kluczyk zazgrzytał w zameczku, drżącą ręką uniosła wierzch i pomału wyjmować zaczęła zawartość. Nic szczególnego zdawałoby się na pozór! Jakiś pukiel srebrnych włosów, jakiś kwiatek zasuszony, z kokardką niepewnego, wyblakłego koloru, obrazek święty z nieczytelnym podpisem. A jednak ciotka przykłada to wszystko do zwiedłych ust swoich, jak świętość całuje i szepcze: „Oto co pozostało mi po was.” Lecz to nie wszystko, dno szkatułki bogatsze; prócz tych drogich sercu pamiątek jest tam jeszcze coś więcej!

(*d. c. n.*)

SZARADA.

od Kadłubka dla czytelników.

Pierwszy wraz z drugim z dziejów nam znany,
Bo kraj przez niego był najeżdżany;
Rabował wszystko — a miasta, sioła,
Płonęły wielką luną dokoła.
Z kolei znowu drugie i trzecie
Wśród ostrych kalców tylko znajdziecie,
W smaku niedobre, okrągłe, małe.
A tak złożyło się słowo całe,
Co nam oznacza drobne nasienie,
Z którego zdrowe jest pożywienie.

ZAGADKA.

Ułożył Strzelec dla W. Dr.

Jam się pierwszej niż Adam narodził,
Zawsze na przemian w szatach dwóch barw^ęchodził;
Tysiąc lat przeszło, a ja w moim stroju
Nie zmieniłem dotąd, ni barwy, ni kroju.

LAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Od Mewy dla Konwalii leśnej.

. Zastąpić kropki literami i ułożyć 11 wyrazów, których pierwsze litery oraz I-szy wiersz złożyć mają nazwę Stanu Ameryki Półn. wiersz 2) Mieszkaniec kraju półn. Afryki. 3) Zwierzę ssące, żyje w Indyach i Afryce. 4) Prowincja francuska, niegdys część król sardyńskiego. 5) Stolica wschod. Turkestanu. 6) Dopływ rz. Aar. 7) U Rzymian bogini domowego ogniska. 8) Rzeka we Włoszech. 9) Przysłówek przeczący. 10) Dopływ Kamy. 11) Samogłoska.

LAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

p. Wichurę dla Stokrotki Matw.

. Zastąpić kropki i gwiazdki literami, ażeby litery oznaczone gwiazdkami, złożyły nazwę części świata. 1 rząd pionowy: rzeka w Niemczech 2) Jezioro w gub. Suwał. 3) Kanton w Szwajcaryi, 4) Rzeka w Rosyi. 5) Dopływ rz. Oki, 6) Miasto w gub. Podol. n. rz. Rowem.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 34.

Szarady: E — le — o — no — ra.

Zagadki: Kompas.

Arytmogryfu.

- 1) Palma. 2) Józef. 3) Odessa. 4) Tabor. 5) Rubin. 6) Sosna.
7) Krym. 8) Alsen. 9) Rzym. 10) Gibraltár. 11) Archimedes.
Piotr Skarga.

Zadania konikowego :

Kto nie sieje ani orze,
Ten plonów zbierać nie może.

Skrzynka do listów.



Przesłaliśmy ci zagubiony numer *Wieczorów*, kochana *Mróweczko*, że jednak nic darmo na tym świecie nie przychodzi, więc i my w zamian za gotowość usług naszych, prosimy o częstszą korespondencję z Redakcją, pragnącą zawsze wiedzieć, czem zajęte rączki i co myślą główki jej młodych czytelników.

Na życzliwe zapytanie *Maryni Ł.* donosimy, że *Jaskółka* wkrótce powróci już ze swej letniej wycieczki i po dawnemu z przyjemnością odpisywać będzie na każdą odezwę. Cieszymy się, że z ochotą zabierasz się do nauk, bo tym sposobem niewątpliwie większą z nich odniesiesz korzyść. Na inne zapytania odpowiemy w przyszłym liście, dziś tylko przesyłamy *Sz. Mamie* twojej serdeczne podziękowanie za wyrazy życzliwości i uznania.

Dobrze Helenko G., że umiesz godzić przyjemność z obowiązkiem i rozumiesz ważność nauki. Słyszałaś może powtarzane zdanie filozofa greckiego, *Diogenesa*, który dowodził, że „nauka jest mądrością młodych, pociechą starców, bogactwem ubogich, ozdobą bogatych.” Niechże więc z rozpoczęciem roku szkolnego praca nad książką i kajetem wyda ci się miłym zajęciem, mającym tobie i koleżankom twoim przynoczyć wiele korzyści, udzielając wam potrzebnych wiadomości i wskazując szlachetny cel życia, do którego winniśmy dążyć wytrwale.

Wojciechowi B. Maszyny do pisania, zastępujące rękę ludzką, nie są wynalazkiem ostatnich czasów. Najpierw zastosowano je, jakkolwiek bardzo jeszcze nieudolnie wykonane, w Anglii r. 1714, w celu ułatwienia ociemniałym przenoszenia swych myśli na papier. Odtąd pracowano ciągle nad udoskonaleniem tych maszyn i w przeciągu czasu od 1878 do 1896 wyrobiono ich 450,000 sztuk. Obecnie posługują się niemi w domach handlowych, biurach, redakcyach i wielu zakładach przemysłowych.

Kaziowi Ł. Zwyczaj noszenia pierścionków na palcach sięga bardzo dalekiej starożytności, kiedy pierścienie miały jeszcze znaczenia symboliczne. Były one godłem wierności, przyjaźni, potęgi, miłości macierzyńskiej. Jako koło bez początku i końca wyobrażały wieczność. U Egipcyan, Persów, Greków, Rzymian pierścień wręczony posłowi, zastępował listy wierzytelne monarchów, nadając mu władzę i zapewniając nietykalność. U nas mężczyźni dawniej nosili pierścień z herbem rodowym na drugim palcu prawej ręki i służył on jako pieczęć, stwierdzająca podpis na listach i dokumentach. Dzisiaj, jakkolwiek często używają pierścionka tylko jako ozdoby ręki, zachował on jednak dawne znaczenie i pozostał dla ludzi godłem połączenia.

Dobre rozwiązanie zadań i zagadek nadesłali: *Kadłubek, Makóweczka, Smok, Henryś i Zosia Z.*